

216

DZIESIĘĆ LAT PO ŚMIERCI LEWI ESZKOLA

# CZŁOWIEK, KTÓRY NIE ZAZDROŚCIŁ SUKCESÓW INNYM

„TAM GDZIE NIE MA CZŁOWIEKA,  
NATURA JEST JAŁOWA”

WILLIAM BLAKE

„Na moim pomniku napisz: — w nawiasie): „Ja, premier „Tutaj pochowany jest człowiek, który miał wiele szans” — zażartował Lewi Eszkol, kiedy przyszedłem do niego przed Wojną Wyzwolenia, aby go zawiadomić, że Ben Gurion mianował go wiceministrem obrony.

Eszkol miał cudowne poczucie humoru. Nawet siebie samego nie oszczędzał przed własnym sarkazmem. Tym, jak różnie wieloma innymi cechami, różnił się od wielu przywódców ruchu robotniczego. Był stanowczy, ale nie uparty. Elastyczny, ale nie ustępliwy. Poważny w czynach, ale dowcipny w wypowiedziach. Nie mówił wszystkiego co wiedział; zachowywał duży zapas nauki i wiedzy na okresy nadzwyczajne.

Znał mądrość kompromisu — „daj i bierz”, zamiast fanatyzmu i rozbicia. Wierzył, że nie można żyć bez kompromisu: „Każdy jest zakochany w swoim kompromisie”.

Lubił znajdować się w centrum, ale nigdy nie zazdrościł sukcesów innym ludziom. Nowe twarze na arenie nie przeszkadzały mu — widział w nich symbol wzbogacenia życia, a nie zagrożenia jego pozycji. „Jungerman”, mawiał, „chcesz wskoczyć do morza — skacz. Jeżeli utoniesz, będziemy cię żalowali. Jeżeli dopłyniesz, zobaczymy się”.

Polagał na naukach przeszłości, ale był gotowy do każdego nowego doświadczenia. Jego cudowny humor był tak soczysty i mądry, że zmienił się z przyjemnością jako takiej w narzędzie pracy.

Współpracowałem z nim przez długie lata. Było to przeżycie, które miało swe wzloty i upadki, ale nawet w najcięższych chwilach było pozbawione gniewu. Zarówno podczas wzlotów, jak też upadków, mądrość ludowa przewyższała nienawiść. Negował wynoszenie się. Życie uważał za stałą próbę, od której nie ma ucieczki. Nawet gdy został premierem, nie zmienił stylu swego życia, ani nie wyżył się swej ciepłej ludowości.

Nie zapomnę dnia, w którym został premierem. Siedział na drugim piętrze małego budynku w Kiria, w Tel Awiwie, a ja — byłem wówczas wiceministrem obrony — siedziałem na parterze w tym samym domu w pokoju, który był równie duży, lub mały, jak pokój premiera. Oba pokoje łączyła bezpośrednia linia telefoniczna. Słyszę dzwonek telefonu: „Jungerman, jesteś tam? Więc przyjdź trochę na górę”. Tak rozwinęła się następująca rozmowa:

Eszkol: — Czy wiesz, kim jestem?  
Ja: — Tak.  
Eszkol: — A więc?  
Ja: — Premierem.  
Eszkol: — Bardzo pięknie, a co robi premier?  
Ja: — Różne ważne rzeczy.  
Eszkol: — Tak, ale jaka jest pierwsza, najważniejsza rzecz?  
Ja: — ...  
Eszkol: — A więc powiem ci: wygłasza przemówienia.  
Ja: — Racja.  
Eszkol: — Ale on nie pisze swego przemówienia. Piszą dla niego.  
Ja: — ?  
Eszkol: — Jungerman, przygotuj azkie.

W owych dniach było rzeczą przyjętą, że premier zapraszał prezydenta Egiptu „na spotkanie twarzą w twarz o każdej porze i w każdym miejscu”. Zamieściliśmy więc w przemówieniu wymagane zdanie. Eszkol przeczytał, rzucając swoje uwagi w takim stylu (jego dodatki „Przeznaczyłem s. nową książkę pt. „Idę z tobą i - siedem portretów”

istnieje jakiś związek między oboma Mesmerami. Podczas rozmowy okazało się, że istotnie tak jest. Potem mówiono o liście zakupów. Rozmowa przeszła bez trudu.

Nie był również zaniepokojony spotkaniem z Couve de



na spotkanie twarzą w twarz, w każdej chwili, w każdym miejscu...” Tu przerwał i zapytał: „Jungerman, du majnst ernst? (Młody człowieku, tak myślisz serio?) A jak się zgodzi — co mu powiemy? Macie plan? Spotkanie ma na celu pokój, a pokój wymaga planu. Przygotujecie spotkanie, a nie macie planu?”

Taka kombinacja idysz i hebrajskiego, humoru i powagi towarzyszyła mu wszędzie. Dużo badał i pytał — czasem były to proste, czasem wnikliwe pytania, ale nigdy nie było w nich udawania lub wyniosłego stosunku „z góry”.

Pamiętam trzy oficjalne podróże w jego towarzystwie — dwie jawne, a jedną tajną.

W roku 1964 Eszkol wyjechał do Francji na spotkania z jej przywódcami; panował wtedy jeszcze „miodowy miesiąc” między nami a Francją. Był bardzo przejęty oczekującym go spotkaniem z de Gaulle'm. Wypytywał mnie o jego indywidualność, poglądy, stosunek do Izraela. Czytał różne materiały i przygotowywał się do rozmowy z nim.

Gdy opuścił Pałac Elizejski odcichnął z ulgą. Spotkanie było udane. De Gaulle'a ujęła indywidualność Eszkola. Przed pożegnaniem wygłosił kilka bardzo przyjaznych deklaracji.

Eszkol miał jeszcze przed sobą konferencję z premierem Pompidou, ministrem spraw zagranicznych Couve de Murville i ministrem obrony Pierreem Mesmerem. Przed każdym spotkaniem Eszkol zwracał się do mnie z pytaniem: „Wos wel ich zogn dem szajgec?” (Co mam powiedzieć temu szajgecowi?).

Nie obawiał się spotkania z Mesmerem. Wprawdzie francuszczyzna Eszkola dosyć kulpała — a Mesmer znał tylko język francuski — ale przygotował sobie plan rozmowy: rozpocząć od jego nazwiska i zakończyć na zakupie broni. Sprawa jego nazwiska wpadła mu na myśl w związku z angielskim słowem „to mesmerize”; niejednokrotnie Eszkol zaskakiwał nas swoją znajomością obcych języków. Źródłem tego słowa była siła hipnotyczna szwajcarskiego lekarza nazwiskiem Mesmer, a Eszkol postanowił zbadać, czy

SYMON PERES

tereny padesów w ciągu około 15 lat: jak ulepszyliśmy gatunki, jak dokonaliśmy melioracji ziemi i oszczędności na wodzie. Gdy już wydawało się, że nie pożegna się z rolniczym tematem, dotarł nareszcie do sprawy Wspólnego Rynku. Wyjaśnił premierowi rządu francuskiego, że wysokie mury celne mogą narazić na niebezpieczeństwo dzieło pionierów i owoce trudu osadników; z tego względu Francja i Izrael powinny współpracować ze sobą również w dziedzinie agrarnej i naukowej.

Im bardziej rozpałał się Eszkol, tym bardziej Pompidou wpadał w konsternację. Nie rozumiał związku i nie wiedział do czego dąży jego rozmówca.

Gdy Eszkol zakończył swój wykład, Pompidou rzucił kilka miłych słów o Wspólnym Rynku, a potem rozpoczął błyskotliwy odczyt o „jabłku w mitologii greckiej”: Pompidou był swego czasu wykładowcą mitologii. Trzy boginie — Artemis, bogini natury i myślistwa; Atena, bogini mądrości; Afrodyta, bogini piękna i miłości — prosiły Parysa, królewicza trojańskiego o wydanie wyroku, która z nich jest najpiękniejsza. Wybrana otrzymała jabłko. Wybrał Afrodytę. Herakles np. — ciągnął dalej Pompidou — otrzymał zadanie sprowadzenia złotych jabłek z krańców Zachodu; Herakles podjął się tego niemożliwego zadania i poddał mu, a od tego czasu jabłko, a razem z nim Herakles, stało się symbolem uzyskania rzeczy niemożliwej...

Im bardziej rozpałał się Pompidou, tym bardziej twarz Eszkola wyrażała zdumienie. Z kolegą nie rozumiał związku między tymi rzeczami. Na zakończenie Pompidou zauważył: „Swego czasu ja nauczałem, jak się zrodził pomarańcz; teraz nauczają mnie skąd one pochodzą”.

Gdy wyszliśmy, Eszkol był zmieszany i rozbawiony. „Wos hot der goj gewolt?” — zapytał.

Portierzy we frakach z długimi srebrnymi łańcuchami na szyi otworzyli bramę a przed nami ukazał się nowy „problem”. U wejścia do palacu (toczyły się dziesiątki dziennikarzy francuskich i izraelskich, fotoreporterów i pracowników radia i telewizji. „Oj waj!” — westchnął Eszkol — „co im powiemy?”

Próbowałem doradzić: „Może im oświadczyć, że omawialiśmy zagadnienia Wspólnego Rynku i współpracy naukowej i agrarnej?” Eszkol zastanawiał się przez chwilę i powiedział: „W takim razie mów ty”.

Czułem, że oblewa mnie pot. Nie było jednak innego wyjścia. Podałem krótki komunikat i „odmówiłem” szczegółów. Na jutrz gazety poranne zamieściły nagłówki o naradach w

sprawie „współpracy naukowej i agrarnej”, zaznaczając, że rzecznicy rządu odmówili podania dalszych szczegółów.

Pod względem politycznym spotkanie to miało niewielkie znaczenie, ale jako ludzkie przeżycie, było pełne eszkolowskiej soczystości.

Innego Eszkola — stanowczego, poważnego, wrażliwego, widziałem podczas jego wizyty u prezydenta Johnsona i podczas innej wizyty w roku 1964.

Wyjechaliśmy do USA w niedzielę rano i po 18 godzinach wyładowaliśmy w Filadelfii. Postanowiono, że pierwsze lądowanie nastąpi w Filadelfii, a nie w Waszyngtonie, a to ze względów symbolicznych (pierwsza stolica USA) a również dla wygody (należy przetrwać żyć różnicę czasu i przyjechać do Waszyngtonu po odpoczynku). Obok Dzwonu Wolności odbyło się powitanie premiera rządu izraelskiego. Żydowskie dzieci powiewały niebiesko-białymi chorągiewkami i śpiewały „Hatikwę”, a w oczach Eszkola i jego świty stanęły łzy. Potem pojechaliśmy do miejskiego muzeum na wystawę rzeźb Lipszycy.

Eszkolowi towarzyszyli: Jaakow Herzog, Teddy Kolek i ja. Przybył również nasz ambasador w USA i przyniósł ze sobą tekst wspólnego komunikatu, jaki miał być ogłoszony po zakończeniu naszej wizyty w St. Zjednoczonych. Taka wizyta czynna się przecież od końca — od zgody na wspólny komunikat. Eszkol poprosił o prywatny apartament, abyśmy się mogli tam zebrać dla odbycia narad.

Rozpoczęły się one o godzinie 10.00 wieczorem. Byliśmy

glaszać. Gotów jest nawet zrezygnować z całej wizyty.

Harman połączył się telefonicznie z amerykańskim ministerstwem spraw zagranicznych i powiedział, że premier jest zdecydowany odrzucić zaproponowany tekst, chyba, że włączony zostanie do niego passus w sprawie zagwarantowania obronnych potrzeb państwa Izrael. Pertrakcje telefoniczne, przerywane od czasu do czasu dla przeprowadzenia narad, zakończyły się nad ranem. Amerykanie obiecali, że tekst zgodny z naszymi żądaniem, zostanie przedłożony prezydentowi do zatwierdzenia.

Rano odlecieliśmy helikoptrem prezydenta do Waszyngtonu. Eszkol był niespokojny. Powiedział mi szepem, że jeżeli jego żądanie nie zostanie zaakceptowane, nie będzie wspólnego komunikatu.

Na trawniku Białego Domu odbyła się imponująca ceremonia oficjalnego powitania; nazwisko każdego uczestnika widniało na wizytówce leżącej na trawniku, aby wiedział, gdzie jest jego miejsce. Za ogrodzeniem zebrał się tłum i klaskał z entuzjazmem. „Idioc!” — powiedział do mnie Eszkol. „Po co oni klaskają, przecież niczego jeszcze nie uzyskaliśmy!”

Weszliśmy do owalnej sali, w której mieści się kancelaria prezydenta. Johnson usiadł na fotelu swego poprzednika Kennedy'ego, a my na tapczanie obok. Johnson był spokojny. Od czasu do czasu rzucał badawcze spojrzenie na Eszkola. Potem wziął arkusz papieru z dolnej półki swego biurka i zaczął nam odczytywać: „The U.S.A. stands four square behind Israel.”

Nie trzy. Włączył też passus. Słowami nie można jednak wyjawić. Pomówimy z nim o czołgach”. Uzgodniliśmy więc, że spotkam się z doradcą prezydenta Averlem Harrimanem, celem pomówienia z nim w cztery oczy o „tachles”.

W międzyczasie nadeszła do nas wiadomość, że amerykański statek już wyładował czołgi „Patton” w porcie Akaby. Pożyczyliśmy się oszukani i byliśmy bardzo zaniepokojeni.

Harriman zaprosił mnie na obiad do swojego biura. Odorkował butelkę wódki i powiedział: „Wypijmy dla jej smaku, a nie dla jej producentów”. Potem dodał już na serio: „Wiem, że chcecie, aby Johnson został powtórnym wybrany. Ty wiesz, że chcemy, aby Eszkol pozostał na stanowisku premiera. Zbadajmy, jak możemy sobie nawzajem pomóc”.

Powiedziałem Harrimanowi, że nikt nie potrafi utrzymać się na stanowisku izraelskiego premiera, jeżeli nie zdoła udowodnić, iż jest zdolny zapewnić dostawę broni. Trauma Wojny Wyzwoleniejszej prześladowała nas nadal. Wy, Amerykanie, głosowaliście za nami w ONZ; kiedy jednak państwa arabskie zaatakowały nas, odmówiliście nam dostarczenia nawet zwykłych karabinów. Eszkol nie może wrócić do domu z próżnymi rękami, zwłaszcza, że amerykański transportowiec wyładowuje czołgi w Jordanii.

Harriman wiedział o tajnych pertrakcjach, jakie prowadziłyśmy z Niemcami w sprawie dostawy czołgów dla Izraela. Chciał wiedzieć, jaki jest faktyczny stan rzeczy i powiedział, że na obecnym etapie Amerykanie wolą pomagać nam za pośrednictwem Niemiec.

Opowiedziałem Eszkolowi o treści rozmowy. Jeżeli tak, powiedział, poruszmy to znowu w rozmowie z Johnsonem. Podczas popołudniowego spotkania mówił wprost do rzeczy. Bez ceremonii przedłożył mu żądanie dostarczenia nam czołgów i samolotów. Johnson powtórzył słowa Harrimana i dodał: jeżeli z transakcji z Niemcami wyjdą „nici”, USA dostarczą nam bezpośrednio potrzebnej broni; co zaś tyczy się samolotów, wyślę do Izraela delegację w celu omówienia tej sprawy.

Eszkolowi nie wystarczała taka odpowiedź. Chciał wiedzieć, kto i jak ma postanowić, czy transakcja z Niemcami zakończyła się sukcesem, czy nie.

Johnson zauważył, że kanclerz niemiecki, Erhard, ma przybyć do USA w ciągu tygodnia i zaproponował, abym zatrzymał się jeszcze tydzień. Pozostałem więc w USA przez dalszy tydzień jako gość rządu amerykańskiego, w charakterze „dostojnika z Nepalu”.

Po pewnym czasie czołgi wyruszyły na platformach z Niemiec w drogę do Izraela. W pobliżu Rzymu musiały przejechać przez starą bramę, a wieżyczka jednego z czołgów utknęła w łuku bramy. Szukano sposobu odholowania czołgu bez uszkodzenia bramy, a tymczasem powstał zator na kilka godzin. Dziennikarze zaczęli badać przyczynę i ujawnili ją wskutek czego tajemność transakcji została naruszona. Gdy Niemcy zostali zmuszone do przerwania dostaw, otrzymaliśmy czołgi z USA. Potem przybył do kraju Averel Harriman oraz zastępca doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa, Konferowaliśmy z nimi dniami i nocą, aż uzyskaliśmy obietnicę, że USA dostarczą Izraelowi również samolotów.

(C.d. w następnym piątku)



Eszkol i Peres na lotnisku Filadelfii

zmnęczeniu, natomiast Eszkol — jakby dopiero obudził się ze snu. Przeczytał projekt komunikatu i zapalał gniewem: nie było w nim zawarte przyrzeczenie udzielenia pomocy dla bezpieczeństwa Izraela. Było to ważne zagadnienie. W owym czasie coraz częściej krążyły słuchy — potem okazało się, że były uzasadnione — iż USA zamierzają dostarczyć czołgów Jordanii, a my byliśmy tym przerażeni. USA odmówiły Izraelowi dostawy czołgów i samolotów.

Na porządku dziennym znalazła się również kwestia zbudowania w Izraelu reaktora atomowego do odsalania wody morskiej. Amerykanie żądali kontroli nad każdą „czynnością atomową”, a pertrakcje wymagaly maksymalnej ostrożności. Chodziło nam o to, aby kontrola nad reaktorem nie przeistoczyła się w nadzór nad całym państwem.

W drodze do Stanów Zjednoczonych, Eszkol powiedział mi, że postanowił być stanowczy w tych sprawach. I tak też postąpił. Oświadczył on naszemu ambasadorowi Harmanowi, że jeżeli taki ma być tekst komunikatu, to lepiej go nie o-

Eszkol rzucił na mnie urwisowskie spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „Widzisz, dodatek drożyzniany!” Po obiecującym wstępie nastąpił passus, nad którym toczyła się nocna dyskusja. Eszkol odcichnął z ulgą. Nie zabrakło również wzmianki o broni, odsalaniu wody i kontroli atomowej.

Eszkol odpowiedział podjękaniem i wykładem na temat sytuacji Izraela. Znowu rozpoczął od dzieł Deganii. Jednakowoż w przeciwieństwie do Pompidou, Johnson okazywał duże zainteresowanie tym tematem. Sam był farmerem, a sprawy rolnictwa, duch pionierstwa i życie na kresach przemieszczały go do serca tego mieszkającego w Teksasie, obecnego na dziejami pionierstwa amerykańskiego. Wytworzyło się między nimi instynktowne zrozumienie. Eszkol, zachęcony reakcją Johnsona, mówił ze szczerością i siłą perswazji o osadnictwie, aliji, bezpieczeństwie państwa.

Gdy wyszliśmy, wrócił do idysz: „Jungerman, four square styszałem. Cztery „hakafor”.